

CYRULIK

WARSZAWSKI

GOLI W KAŻDĄ NIEDZIELĘ.

Nº 17.

R.1

SMIEJMY SIĘ! KTO WIE CZY ŚWIAT POTRWA JESZCZE TRZY TYGODNIE? (BEAUMARCHAIS)

Przewrót majowy w mieszkaniu endeka



Nie płacz żono! Trzeba iść z dachem czasu. A Hallera i Witosa schowaj na strychu, może się jeszcze przydadzą.

S C E P T Y K.

U nas najczęściej się zdarza,
I jak choroba się szerzy
Typek, takiego spryciarza,
Co w nic z zasady nie wierzy.

Mówisz: Czyżeś pan słyszał?
La Manche kobieta przepływał
„Panie, to tylko tak piszą
Ale mnie nikt nie wykiwa”.

Mówisz o nowym premierze,
O mowie genewskiej Brianda:
„Czytałem ale nie wierzę,
To wszystko bujda i granda”.

Mówisz o wielkiej nadziei
Wszystkich narodów zjednania.
„To wszystko banda złodziei
A ja nie lubię bujania”.

Mówisz: Europa odetchnie,
Czy mówisz, że burza się zbiera
A on się sprytnie usmiechnie;
„Nie rób pan ze mnie frajera”.

Mówisz, co w radjo nadają
Czy o względności przestrzeni
„Wszystko to wymyślają
By forse ciągnąć z kieszeni”.

W kinie nie śmieje się wcale.
W teatrze nie daje brawa.
„Ja znam się na tym kawale
Panie — to wszystko jest kawał”.

Gdy ktoś już jest pod tramwajem
A tramwaj mu nogę odetnie,
On mówi: „Ja go znam świetnie,
To żebrak on tylko udaje”.

Z uśmiechem sprytnym spogląda
Gdy mówisz o jakim artyście.
„Cóż to jest Reymont, Reymonta
Ja znałem sam osobiście”.

A jak mu w mordę dać zdrowo
Wtedy napewno uwierzy
„Jak bije znaczy ma prawo
A prawo szanować należy”.

A. S.

Jak się pisze nowelę?

Sposób prawie tak dobry jak proszek D-ra Oethera, przy pomocy którego można upiec ciasto od święgotliwego ptysia aż do zadumanego baumkuchena. Oto on: bierze się parę dobrych, „klasycznych” nowel i miesza się ich treść, ideje i pisarską formę. Z 3-ch nowel może nawet średnich zdolności człowiek (urzędnik, śpiewak, szofer, posel?) zrobić nowych nowel jedenaście. Więcej może zrobić tylko matematyk albo muzyk — ale ci ludzie nie wchodzą tu w rachubę, ponieważ jedni z nich rozumieją całki, inni zaś zmniejszone abory krechtschtowe.

„Zostańmy przy jedenastu” — jak rzekł kiedyś kat Rewolucji Francuskiej, Sonson, widząc, że nikt nie podchodzi już do gilotyny.

Robi się tak: bierze się np. „Anielkę”, „Szkice węglem”, „Siłaczkę”, „Schadzke” i miesza się, dodając według recepty, tymczasem nie dodając proszku D-ra Oethera. Ciasto, po dwugodzinnem mieszananiu tak będzie w skrócie wyglądać:

Młoda dziewczynka ze dworu Anielka lubi ptaszki i nie lubi nauczycielki Walentyny. Niejaki Gajda, chłop z chłopów, nie chce iść do wojska, bo jego ojciec chce sprzedać dom. Anielka kocha Gajdę, ale nienawidzi żyda, Joska, który upija pisarza Zolzikiewicza wódką. Zolzikiewicz, który prócz picia wódki zakochany jest w nauczycielce Stanisławie, umierającej na suchoty,

ale z kolei zakochanej w synu pewnego inżyniera z Warszawy, który ma lat czternaście i krew idzie mu z nosa. Stanisława mówi po francusku z Walentyną, czego nie lubi Gajda, zaś Zolzikiewicz jedzie w lecie saniami z doktorem do Anielki, zupełnie zdrowej, i nienawidzonej przez całe miasteczko wraz z Gajdą, który jest ze wsi. Pozwólcie mi odetchnąć.

Z tego wynika, że dwór ojca Anielki wraz z księdzem kanonikiem pałi się w lecie obok zaśnieżonego domku Stanisławy, w którym idzie krew z nosa synowi inżyniera z Warszawy. Patrzy na to zezem naczelnik powiatu, szepejąc zgrabialemi od wódki usty: „Wcissora to nie moja mama. Rzepa, Burak, dalej 3 grosze”. Jasek pali papierosy w gilzach „nieszkodliwych piersiom”, zeni Wcissorę z doktorem medycyny i sprzedaje Stanisławę Zolzikiewiczowi. Wszyscy grają na gitarach. Ciocia i jej córka z francuską wychodzą za mąż za młodego poetę Tramwaj jedzie. Przyjemnie. Na bagnach, po których chodzą złośliwe ogniki, łowi rzepy Gajda przywiązując im do ogonów zapalone wróble. Jasek wraz z poetą Wiktorem (który lubi Sowińskiego) przegląda się w baretach doktora Weissza, czeka na Chałubińskiego i postanawiają obaj wrócić do francuski.

Zakończyć należy jakimś efektem własnym: orkan, pożar, albo dystyngowane milczenie. Oto dzieło.

Wiele tomów takich nowel „wychodzi

z pod piór”. Dla ubarwienia można dodać szerszą scenę bratania się chłopca z żydem w karczmie, bohaterski epizod gry Zolzikiewicza w kości z młodym synem inżyniera z Warszawy, taniec Anielki z doktorem na śniegu, lekcję Stanisławy z Weissową oraz Rzepę z Gajdą w plebanji na ganku starej piwnicy kanonika.

Zdaje mi się, że przepisy moje są zupełnie dostateczne. Należy tylko dodać proszek D-ra Oethera i wszystko wsadzić w piec. Sam nie jestem wprawdzie nowelistą, ale od czasu gdy romaniści zajmują się polityką i ja mogę pisać o technice nowelistycznej. Zresztą ten ongiś profesor romanistyki z całą szczerością przyznaje się do nieznajomości literatury i ja z całą pewnością przyznaję się do nieznajomości polityki. Wszyscy zadowoleni.

Wiktor Popławski



STARE PIOSENKI W NOWYM OPRACOWANIU

„Oh la musique, la musique, la musique americaine. C'est charmant, c'est bien plus excitant, que la musique parisienne”



Jazz-band Coolidge'a i fujarka Poincarego.

rys. Czernański

Krótki kurs dla detektywów - amatorów.

Detektyw współczesny posługuje się częściej mózgiem, niż mięśniami.

On obmyśla wszystko. Jego rozum pracuje mniej więcej tak: Zbrodnia została popełniona. To znaczy, że ktoś ją musiał popełnić. Co znaczy, że ktoś musi być aresztowany.

Oczywiście jest, że im więcej osób zostanie aresztowanych, tym więcej ma się szansów wykrycia poszukiwanego.

Pierwszą rzeczą należy zacząć kogoś podejrzewać. Ale kogo? W tem jest sęk!

Dłaczego kogoś, a nie wszystkich.

Ktoś, przypuścmy, spotkany, ma trochę włosy w nieładzie, lub coś w ruchach, co przykuwa naszą uwagę. Zaraz dopatrujecie się w tem znaczenia — względnie winy i zaczynacie go śledzić.

Dobry detektyw musi wiedzieć, jak śledzić. To jest rzecz najniezbędniejsza.

Podczas śledzenia, nigdy nie powinniście stracić śledzonego z oczu. Musicie być dlatego dość blisko, to nie znaczy, jednak, że musicie deptać mu po piętach — to mogłoby w nim wzbudzić podejrzenia, iż jest śledzonym. Jeżeli wreszcie i jemu i wam znudzi się ta zbyt długo przeciągająca się historia, i jeżeli śledzony nie zacznie uciekać lub nie przyzna się do winy — musicie działać bardzo ostrożnie.

Najlepiej podejść do niego i poprosić o jakąś bagatelę np.: o ogień lub wskazanie drogi etc. Przez pewien czas idziecie z nim razem i raptem najniespodziewaniej w świecie oświadczacie mu najlepiej tak:

— „Gra przegrana”. Jeżeli się zacznie pytać: O jakiej grze mówicie, nie bądźcie zbici z tropu, mówcie dalej: „Znamy się na tem, ptaszku, powiedz lepiej jakieś doszedł do takiej wprawy” — lub „niema gadania — robota była czysta”. Kiedy w końcu powie wam, że nie wie o co wam właściwie chodzi, o czem mówicie lub jeżeli jego śmiech wprowadzi was w zakłopotanie. Zostawcie go i zaczniście podejrzewać kogoś innego. Aż do skutku.



GDZIE SZUKAJĄ SOJĘ



A Gdzie siedzą szuje.

rys. Zaruba

Niewydana bajka

poświęcona pp. Krytykom całego świata.

Zdarzyło się, że pewien malarz namalował niewielki, ale doprawdy znakomity obraz i postawił go przed lustrem.

— To zwiększa przestrzeń, łagodzi kolory i obraz jest jeszcze ładniejszy. Żyjące w lasach zwierzęta dowiedziały się o tem od domowego kota, który cieszył się wśród nich wielkim mirem, jako że był taki wykształcony, taki kulturalny, tak dobrze wychowany, dystyngowany, a przytem opowiadał im wiele takich rzeczy, o których nigdy dotąd nie słyszały, a które rzucały wiele wątpliwości w duszę.

Opowiadanie kota o obrazie zaciekało ogromnie zwierzęta. Zasypywały go pytaniami, chcąc bodaj coś nie coś zrozumieć.

— Co to jest obraz?... Opowiedz nam.

— Jest to zupełnie płaski przedmiot, bardzo płaski, niezwykle płaski i bardzo ładny, tłumaczył kot.

Odpowiedź zaciekała jeszcze bardziej i zwierzęta za wszelką cenę postanowiły zobaczyć i przekonać, „co to jest obraz”...

Niedźwiedź zadawał rzeczowe pytania: Co sprawia największą przyjemność w obrazie?

— Patrzenie na niego, mówił w ekstazie kot, to jest cudowne... a lustro...

— A co to jest lustro? — pytała nieinteligentna krowa.

— Lustro to jest dziura w ścianie, wynijając i niechętnie tłumaczył kot. Patrząc w tę dziurę i widząc w niej czarujący obraz... tak piękny i zachwycający, że niepodobna powstrzymać się od radosnego mruczenia...

Osiół, który dotychczas nie odzywał się wcale, zaczął wykladać wszystkie wątpliwości i podejrzenia, które stoczyły się w jego

głowie, przyczem dla wzmocnienia argumentacji, ryczał w niebogłosy: — Otóż, wydaje mu się, że jeżeli dla opisanego zwykłego płaskiego przedmiotu, trzeba posługiwać się tyloma superlatywami, to mimowoli umysł krytyczny powinien przedewszystkiem zbadać, czy, jak i dlaczego „nie możnaby tego określić, zwyczajnie i prosto, naprz.: dobre siano, sułaczna woda i t.d.”

Słowa, wypowiedziane przez osła, wywarły pewien wpływ na zwierzęta, jednak osioł nie był zbyt lubiany i miał nieszczególną opinię, dlatego zapewne rozległo się kilka ironicznych okrzyków.

Osiół, dumnie osamotniony, upierał się przy swoim zdaniu i wreszcie oświadczył, iż istnieje jeden tylko sposób rozstrzygnięcia sporu.

Aby przekonać wszystkich o tem, że racja jest po jego stronie, gotów jest pójść sam, spojrzeć w dziurę, która nazywa się lustrem, a później opowie wszystkim, co widział. „Chyba wierzycie mi, wiecie, iż jestem uczciwy”...

Wiedziono, że jest dość głupi, aby być uczciwym i dlatego zażądano, aby natychmiast poszedł zobaczyć obraz i lustro.

Osiół stanął pomiędzy obrazem i lustrem. Oczywiście obrazu nie widział. Wróciwszy do zwierząt, osioł po długich przygotowaniach, chrząkaniach i przybieraniu najuroczystszych poz, rzekł:

— Kot skłamał. W dziurze nie było nic. Żadnego płaskiego przedmiotu nie widziałem. Żadnego cudownego obrazu nie było. Naprzeciw mnie stał pewien dość okazały osioł, o bardzo mądrym wyrazie twarzy i przyjaźnie uśmiechał się do mnie. Widok był dość sympatyczny, ale o zachwycającym obrazie wogóle nie może być mowy, bo go nie było wcale.

— Czy aby dobrze przyjrzałeś się tej dziurze, czy podszedłeś blisko?... — pytał

sędziwy Gati, stary słoń, wielokrotnie opisywany przez powieściopisarzy.

— Widziałem go wyraźnie. Sądziś, że bałem się i patrzyłem z daleka... otóż, stałem tak blisko, że dotykaliśmy się mordami...

— To ciekawe... O ile mi wiadomo, osioł nigdy nie kłamie... Niech pójdzie kto inny. Misiu, idź ty. Spójrz w dziurę i opowiedz nam, co widziałeś.

Niedźwiedź wrócił.

— Kłamie jeden i drugi. I kot i osioł. W dziurze jest niedźwiedź.

Zdumienie zwierząt było olbrzymie. Każdy chciał dociec prawdy. Namietności grały. Najbardziej obłudne zwierzęta wołały wielkim głosem: „Prawdy! Prawdy!... Co jest w dziurze?...”

Gate posyłał ich po kolei.

Poszła krowa. Wróciła. Nie widziała nic prócz krowy.

Tygrys widział tygrysa.

Lew — lwa.

Śmierdziel — skarżył się na przykry zapach idący z dziury. Tam jest śmierdziel.

Stary Gati rozgniewał się i oświadczył, że sam pójdzie, chociaż mu z trudem przyjdzie. Miał dużo lat i trąba włożył po ziemi. Kiedy wrócił, usadowił się pośrodku wielkiego koła i zaczął gromić zwierzęta: „Jesteście obłudne, kłamliwe istoty! Cóż za niski poziom umysłowy i moralny! Okłamywać się wzajemnie, wprowadzać w błąd tego... starego Gati... przecież w dziurze jest słoń... To widoczne na pierwszy rzut oka... Dlaczego więc kłamięcie?...”

Na uboczu siedział kot i myślał:

„W każdym tekście można odnaleźć, co się komu podoba, jeżeli stanie się między nim, a zwierciadłem swej fantazji. Może nie zobaczycie tam swoich długich uszu, ale one z pewnością tam będą”.

Mark Twain.

KALAMBURZYŚCI

CZYLI MĘKI TWORZENIA DOWCIPÓW.

Kalamburzysta jest to człowiek, który zniekształca i przekręca słowa w celu zrobienia dowcipu. Któż się nie usmiechnie wzgl. nie wybuchnie głośnym śmiechem, słysząc w restauracji zdanie: „Proszę dla mnie zrazy kałesońskie?” Przymiotnik „nelsońskie” (à la Nelson) to proza, stan faktyczny; „kałesońskie” — to już inny świat, to humor, satyra i dowcip. A wszystko przez skromną grę słów. Sam słyszałem gościa, który, dusząc się od śmiechu, zamawiał w knajpie „zającą z kalamburczkami”. Siwobrody, sędziwy żart o „antykwarjacie” (antyk + warjat) jest klasycznym przykładem kalamburu integralnego (calembourg integral) t. j. bez zmasakrowania słowa. Do tej kategorii należy też etymologia słowa żebrak, który dlatego tak się nazywa że b r a k mu (scil. forsy), kałosz (ka + losz), serwetka (że się tam niby ser wtyka; futurum od wetknąć; on wetka ser czyli on serwetka) i t. d. Co do dwóch ostatnich przykładów nie jestem pewien; ale nie jest rzeczą niedopuszczalną, aby dla rozśmieszenia bliźniego używać i takich kalamburów.

Szaleństwo zaczyna się dopiero przy deformowaniu słów, przedstawianiu liter i sylab, tłamszeniu zgłosek i dźwięków oraz stosowaniu całego szeregu innych aktów okrucieństwa dla wyciągnięcia za włosy choć cienia nędznego dowcipu. Kalamburzysta czai się wtedy jak jaguar, nastroszony i czujny podpełza cichaczem do swej ofiary, do żywych, prostych, normalnych słów mowy ludzkiej, nagłym skokiem rzuca się na nie, rozszarpuje na strzępy, z okrwawionych ochłapów skleca na poczekaniu potwora i każe nam się śmiać. A my często nie możemy. Bo taki „kompraczikos” (patrz powieść Hugo „Człowiek, który się śmieje”) maltretuje wyrazy zazwyczaj bez zastanowienia. Chamberlaina nazwie „Czemberlenin” i mruga okiem. Mruganie oznacza mętną i niezgodną z rzeczywistością aluzję na temat politycznych sympatii Anglii dla Sowietów. Z Czemberlenina zjeżdża na „Czemberlina”; bo on, panie, niemiaszków do ligi wpuścił, więc Berlin, uważasz pan. Według naszego dowcipnisia marszałek Foch ma dobry fach i szwabskich fochów się nie boi. Jeżeli takiemu kalamburzyście imię Adolf, to hula już na całego. Z polskiego marszałka uczyni marszelika, z brygadjera — brygandjera, z komendanta — komedjanta, z Romana Dmowskiego — narodmowskiego Romanowa, a świerzbic go będzie aby na madejowe łożu gry słów położyć nawet innych, najbliższych sobie — wszystko dla kalamburu. „Gdybym tak mógł, jak nie mogę, myśli sobie płochy żartowniś, cobym ja w tej endecji za spustoszenia porobił!” I marzy: Zdziechowski — Bździechowski, Dubanowicz — bez zmiany, endecki — mendeki, wojewoda Bniński — dudniwoda Liński, generał Raszewski — Degeneraszewski, Muśnicki — Chamuśnicki, Kiernik — piernik, Dwugroszowa — Dwugroszuja i t. p. humorystyczne satyry. Ale trudno — nie wolno.

Osobna wzmianka należy się pewnemu objawowi straszliwego zdziczenia mózgu u kalamburzysty. Są to jego chore marzenia, aby bieg życia i zjawisk ułożył się w sposób odpowiadający jego kalamburom. Kiedy przyjdzie mu na myśl dobra gra słów, modli się gorąco o jej ucieleśnienie w życiu. „Spraw, o wielki Boże, błaga kalamburzysta, aby Korfanty buchnął Bryłowi klejnoty, uciekł z nimi na wyspę Korfu i niechaj go Brył potem złapie”... — Obląkańcze! czemu ty o takie koszmarnie rzeczy Boga prosisz? Ja wiem dlaczego! Bo wtedy będzie miał rację bytu pyszny kalambur: „Brylanty na Korfu i Korfanty na Brylu”. Śni się trawionemu gorączką słowograjowi, że stary mistrz Fałat został dyrektorem Polskiej Agencji Telegraficznej... Ach, gdyby się to sprawdziło! Jak świetnie brzmiałby wtedy kalambur: „Wart Pat Fałata a Fałat Pata”. Taki okrutnik odżalować nie może, że inżynier Gniazdowski nie został strącony podczas filmowania szarzy ułanów. Bo gdyby (o, radości!) przedsiębiorstwo filmowe, które tworzy obraz powyższy, nazywało się „Polskie Towarzystwo Akcyjne Kinematograficzne” (P. T. A. K.) i gdyby inż. Gniazdowski był przez nie zaangażowany i gdyby potem został ranny — kalamburzysta ryknąłby: „Zły P. T. A. K. co własnego Gniazdowskiego kala”. Kalamburzysta bogacz nie zawahałby się napewno przed sfinansowaniem całej takiej imprezy. Do drobnych marzeń

kalamburzystów należy ukryte pragnienie, aby marszałek Piłsudski był alkoholikiem. Pisaliby wtedy: „Jaki on tam Piłsudski? On pił wódki. Taby dopiero było zrywanie boków!”

...A o północy, w tajemnicy przed sobą samym, roi się kalamburzyście piekielny pomysł samobójstwa: „Wezmę trumnę, porąbię, sproszkuję i zjem; umrę od tego i położę mnie do innej trumny. Wtedy będzie wesoly kalambur: Ha ha! trumna jest w nim i on jest w trumnie”.

Mam wrażenie, że przesadziłem. Przecież to wcale nie jest kalambur. Zwykle, normalne zdanie.

J. Tuwim.

Z NASTROJÓW GENEWSKICH



rys. Z. Czernański

SERENADA SCHUBERTA

w wykonaniu delegata niemieckiego Schuberta.

STARE PIOSENKI W NOWYM WYKONANIU

(z powodu poranienia operatorów kinematograficznych przez polską kawalerję).



„O francuzi wszak bez ceny rany wasze dla nas są”.

rys. Pih.

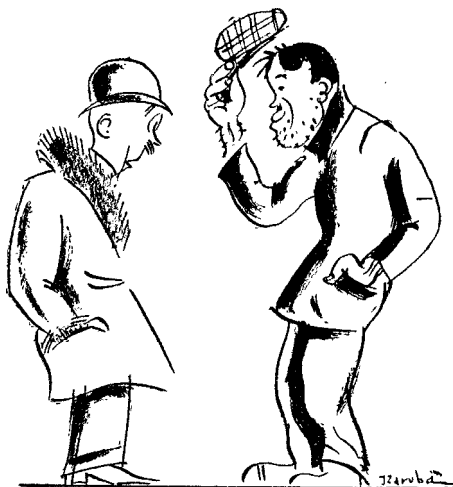
Courteline opowiada zabawną anegdotę o pierwszym swym spotkaniu z Verlainem. Liryk był urznięty w pień. Nie było mowy, aby mógł dostać się do domu. Courteline wsadza Verlaine'a do fiakra i zaczyna wypytywać go, gdzie mieszka:

- Na lewym brzegu?
- Nie.
- Montmartre?
- Nie.
- Bastylja?
- Tak... niedaleko...
- Bulwar Beaumarchais?
- Nie.
- Bulwar des Filles-du-Calvaire?
- Nie.
- Rue de la Roquette?
- Tak.
- Numer?
- Nie wiem...
- Pierwszy?
- Nie.
- Drugi?
- Nie.
- Trzeci?
- Nie...

Mieszkał, kończy Courteline, pod 124!!

Kon i Pipman przechadzają się po Marszałkowskiej. Nagle — krzyk, zamieszanie. Jakiś chłopak złapał z koszyka przekupki kilka śliwek i w nogi. Oburzony Kon chce gonić złodzieja. Pipman chwytą go za rękę:

— Daj spokój! My także byliśmy kiedyś młodzi...



— Przepraszam, czy szanowna osoba nie widziała gdzie tu policjanta.
— Nie, nie widziałem.
— To niech no kawaler odda to futerko i sypie forse, pókim dobry.

Lord Byron miał w Wenecji w roku 1818 kochankę — szesnastoletnią Teresę Gamba. Miała ona potem dwóch mężów. Ten drugi, przedstawiając ją, mówił zwykle dumnie:

— Moja małżonka, markiza B..., niegdyś kochanka lorda Byrona.

Podczas targów wschodnich we Lwowie odbył się bankiet na cześć prasy miejscowej. Koło znanego satyryka lwowskiego Raorta siedział jakiś szlagon z pod Worochty, pijany do nieprzytomności. Zaczyna się wznośnienie toastów. Szlagon pije do swego sąsiada i bełkoce:

— Zdrowie literatury! Ale żeby biskup chodził w cywilu — nie rozumiem...

Nikt z obecnych także nie rozumiał, o co chodzi.

Dopiero po długich poszukiwaniach udało się rozwikłać zagadkę splątanych skojarzeń myślowych pijanego jegomościa, a mianowicie: Raort pomieszał mu się z Orotem. Orot pisał o „Starem mieście”, Stare Miasto wywołało myśl o „Starej Baśni” Kraszewskiego, którego pijany pomieszał znów z Krasickim, biskupem warmińskim.

Wróżenie z rąk czyli chiromancja.



rysował Swidwiński

STARE PIOSENKI W NOWEM OPRACOWANIU

(z powodu francuskiego pochodzenia bomby rzuconej na Mussoliniego).



„C'est l'oiseau qui vient de France (Beranger).

rys. Czermański

Druk ukończono 25-go września 1926 r.

Cena numeru 50 gr. Prenumerata kwartalnie 5 złotych.

Redakcja i administracja E. WENDE i S-KA, Krakowskie-Przedmieście 9.

Redaktor i wydawca LUDWIK FISZER.

Drukarnia Zakładów Wydawniczych M. Arct, Sp. Akc. w Warszawie, Czerniakowska 225.